



STEPHEN
KING
DESPERACJA

Rozdział 1

1

— O Boże! Jezu przenajświętszy, co za obrzydlistwo!

— Mary? Co się stało... Mary?

— Nie widziałeś?

— Niby czego?

Obrzuciła go spojrzeniem. W ostrym słońcu pustyni jej twarz była bardzo blada, cała oprócz czerwonych plam opalenizny na policzkach i na czole, gdzie skóry nie zdołał obronić jej krem z najmocniejszym protektorem. Cerę miała jasną, bardzo delikatną.

— Tego znaku. Ograniczenie prędkości.

— No i co?

— Ktoś powiesił na nim martwego kota, Peter. Przybił go, przykleił, wszystko jedno!

Peter mocno wcisnął hamulec, ona jednak natychmiast złapała go za rękę.

— Nie waż się zawracać, słyszysz!

— Ale...

— Co „ale”? Chcesz mu zrobić zdjęcie? Nic z tych rzeczy, skarbie. Jeśli znów go zobaczę, zwymiotuję.

— To był biały kot?

We wstecznym lusterku widział ciemny znak, pewnie to ograniczenie prędkości, o które jej chodziło... i nic więcej. Gdy je mijali, patrzył akurat w przeciwnym kierunku, na jakieś ptaki lecące w stronę najbliższego pasma gór. Tu kierowca nie musiał poświęcać przesadnej uwagi drodze; stan Nevada nazwał ten odcinek szosy numer pięćdziesiąt „najmniej uczęszczaną z dróg Ameryki” i — zdaniem Petera Jacksona — była to nazwa w pełni słuszna. Oczywiście, Peter był nowojorczykiem z krwi i kości, a poza tym podejrzewał, że w tej chwili doświadcza kumulatywnego efektu

strachu. Agorafobia Pustynna, Syndrom Sali Balowej, coś w tym rodzaju.

— Nie, pręgowany. O co ci chodzi?

— Myślałem o satanistach na pustyni. Podobno mieszka tu kupa wariatów, czy nie to przypadkiem próbowała nam wmówić Marielle?

— Ludzi o niezwykłych poglądach. Tak to, zdaje się, określiła. Cytuję: „W środkowej Nevadzie mieszka mnóstwo ludzi o niezwykłych poglądach”. Koniec cytatu. Gary był bardzo podobnego zdania. Tylko, że od czasu przekroczenia granicy z Kalifornią nie spotkałiśmy jeszcze nikogo i...

— A Fallon?

— Stacje benzynowe się nie liczą. Zresztą nawet tam, ci ludzie... — spojrzała na niego jakoś dziwnie, beznadziejnie; ostatnimi czasy nieczęsto widział na jej twarzy ten szczególny wyraz, choć poznał go doskonale przez kilka miesięcy po poronieniu. — Co tu robią ludzie, Peter? Vegas i Reno rozumiem, rozumiem nawet Winnemucca i Wendover...

— Ludzie, którzy przyjeżdżają tu z Utah, żeby sobie pograć, nazywają Wendover „Wężowe” — powiedział z uśmiechem Peter. — Wiem od Gary’ego.

Zignorowała jego żart.

— ...ale reszta stanu? Przecież mieszkają tu ludzie... po co przyjechali, dlaczego nie wyjeżdżają? Wiem, urodziłam się i wychowałam w Nowym Jorku, więc chyba nic nie rozumiem, ale...

— Jesteś pewna, że to nie był biały kot? Albo czarny?

Zerknął w lusterko, ale ciągnął równe sto dziesięć i przy tej prędkości znak wtopił się już w plamiste tło piachu, kaktusów i bladobrazowych wzgórz. No, ale nareszcie pojawił się za nimi jakiś samochód — dostrzegł oślepiający błysk słońca odbitego w przedniej szybie. Samochód jechał o jakieś dwa kilometry z tyłu. Może trzy.

— Nie. Pręgowany, przecież ci mówiłam. I może odpowiedziałbyś mi wreszcie na pytanie. Kim są podatnicy ze środkowej Nevady i dlaczego nie opuszczają środkowej Nevady przy pierwszej sprzyjającej okazji?

Wzruszył ramionami.

— No, nie mieszka tu aż tak wielu podatników. Największym miastem przy pięćdziesiątej jest Fallon, poza tym są tu przeważnie farmy. W przewodniku napisali, że tama na jeziorze umożliwiła irygację. Uprawiają głównie melony. I zdaje się, że w pobliżu jest

baza wojskowa. Fallon było stacją na trasie Pony Expressu *, wiesz o tym?

— Mam to w nosie — stwierdziła. — Mam to w nosie razem z melonami.

Prawą rękę położył na moment na jej lewej piersi.

— Bardzo fajne ma pani melony.

— Dziękuję. I nie chodzi mi o Fallon. Mam w nosie każdy stan, w którym z drogi nie widać ani jednego domu, ani jednego drzewa i gdzie do znaków ograniczeń prędkości przybija się koty.

— No, wiesz, jest to kwestia zakresu percepcji — powiedział, uważnie dobierając słowa. Z Mary było czasami tak, że człowiek nie wiedział, kiedy mówi poważnie, a kiedy się po prostu nakręca. — Komuś przyzwyczajonemu do wielkiego miasta Wielka Niecka nie mieści się w zakresie percepcji. To wszystko. Nie chodzi tylko o ciebie. O mnie też. Samego nieba jest tu tyle, że mam pietra. Od rana, kiedy ruszyliśmy w drogę, czuję, jak przydusza mnie do ziemi.

— Ja też. Po prostu jest go za wiele.

— Żałujesz, że wybraliśmy tę drogę?

Zerknął w lusterko. Jadący za nimi samochód wyraźnie się zbliżył. To nie ciężarówka, których kilka widzieli już od chwili wyjazdu z Fallon (wszystkie jechały zresztą w przeciwnym kierunku, na zachód), tylko samochód osobowy. Gnał na złamanie karku.

Myślała przez chwilę, a potem potrząsnęła głową.

— Nie. Miło było zobaczyć Gary’ego i Marielle, a Lake Tahoe...

— Piękne, prawda?

— Nieprawdopodobnie piękne. Nawet to... — Mary wyjrzała przez okno. — ...nawet to jest przecież bardzo piękne, nie mówię „nie”. Pewnie zostanie mi w pamięci do końca życia. Piękne, ale...

— ...przerazające — dokończył za nią. — Przynajmniej dla nowojorkczyka.

— Słusznie. Miejski zakres percepcji. Zresztą, gdybyśmy pojechali osiemdziesiątą, to tam też jest tylko pustynia.

— Racja. I chwasty po asfalcie się toczą...

Zerknął w lusterko. Szklą okularów, które wkładał, siadając za kierownicą, błysnęły w słońcu. Doganiał go policyjny radiowóz. Miał co najmniej sto pięćdziesiąt na liczniku. Peter odbił w prawo,

* Pony Express — słynna poczta konna funkcjonująca między Missouri i Kalifornią w latach 1860—1861.

aż prawymi kołami zjechał na betonowe pobocze, wznecając chmurę kurzu.

— Pete, co ty wyprawiasz?!

Kolejny rzut oka w lusterko. Wielka chromowana atrapa niemal dotykała ich zderzaka. Promienie słońca odbijały się od niej z dziką wściekłością, musiał zmrużyć oczy, ale mimo to był przekonany, że samochód jest biały — więc to nie radiowóz policji stanowej.

— Znikam z pola widzenia. My, małe, zwinne chytruski, uważamy, żeby nikomu nie rzucać się w oczy. Mamy na tyłku gliniarza, który cholernie się gdzieś spieszy. Pewnie ściga...

Radiowóz wyprzedził ich błyskawicznie. Acura, własność siostry Petera, zakofyła się na resorach od podmuchu. Był biały, a właściwie szary od kurzu, przynajmniej od klamek w dół. Na drzwiczkach miał znak, ale wyprzedził ich tak szybko, że Peter zdołał odczytać wyłącznie DES.... Pewnie od Destry. Dobra nazwa dla zagubionego w środku niczego miasteczka w Nevadzie.

— ...tego kogoś, kto przybił do znaku kota — dokończył Peter.

— Dlaczego jedzie tak szybko bez świateł i syreny?

— A po co mu tu światła i syrena?

— No... — zawahała się i znów spojrzała na niego jakoś dziwnie. — ...przecież właśnie nas wyprzedził.

Już miał powiedzieć coś mądrego, utworzył nawet usta... lecz zamknął je, nie wypowiedziawszy ani słowa. Miała rację. Gliniarz musiał ich widzieć co najmniej od chwili, kiedy oni dostrzegli jego, pewnie zauważył ich znacznie wcześniej, więc dlaczego nie włączył świateł i syreny, choćby dla świętego spokoju? Och, oczywiście Peter prowadził wystarczająco dobrze, by z własnej inicjatywy zjechać na bok, zostawić mu tyle miejsca, ile to tylko możliwe na tej drodze, ale...

Światła stopu radiowozu nagle błysnęły. Peter odruchowo, instynktownie kopnął hamulec, chociaż zwolnił już do dziewięćdziesiątki, a policjant znajdował się wystarczająco daleko, więc nie było nawet mowy o zderzeniu. W chwilę potem radiowóz zjechał na lewy pas.

— Co on robi? — spytała Mary.

— Właściwie to... no, właściwie nie wiem.

Lecz, oczywiście, wiedział. Jadący przed nimi samochód zwalniał. Z „a niech was wszyscy diabli” przyzwoitej stopięćdziesiątki do osiemdziesiątki. Marszcząc czoło, bo wcale nie chciał się do niego zbliżać, choć nie wiedział dlaczego, Peter także zwolnił. Igła prędkościomierza należącej do Deirdre acury zatrzymała się na siedemdziesiątce.

— Peter? — W głosie Mary brzmiał niepokój. — Peter, to mi się wcale nie podoba.

— Nic się nie dzieje — uspokoił ją, ale czy rzeczywiście nic się nie dzieło?

Wpatrywał się w policyjny wóz toczący się teraz powoli lewym pasem i myślał. Bardzo chciał zobaczyć siedzącego za kierownicą człowieka, lecz nie mógł. Tylna szyba radiowozu była niemal czarna od kurzu.

Światła stopu, zakurzone tak samo jak tylna szyba, rozbłysły znowu. Teraz radiowóz jechał nie więcej niż pięćdziesiąt. Na szosie pojawił się skoczek stepowy — wielkie radialne opony radiowozu spłaszczyły go na placek. Pod acurą znalazł się, gdy przypominał już wyłącznie siatkę z połamanymi palców. Petera przeraziło to nagle, nagle niemal odchodził od zmysłów z przerażenia, nie mając przy tym najmniejszego pojęcia, czego się boi.

Bo Nevada pełna jest ludzi o zdecydowanych poglądach. Przy najmniej według Marielle, a Gary się z nią zgodził. Ludzie o zdecydowanych poglądach zachowują się w pewien szczególnie sposób. Mówiąc po prostu, zachowują się dziwnie.

Bzdura, oczywiście bzdura, nic dziwnego się tu nie dzieje, nic a nic, chociaż...

Błysk stopu. Peter nacisnął hamulec. Ani przez chwilę nie zastanawiał się nad tym, co robi. Zerknął na prędkościomierz. Jechał nędzne czterdzieści kilometrów na godzinę.

— Czego on od nas chce, Peter?

Odpowiedź na to pytanie nie nastęczała najmniejszych kłopotów.

— Chce znów znaleźć się za nami.

— Dlaczego?

— Skąd mam wiedzieć?

— Dlaczego po prostu nie stanie na poboczu?

— Nie wiem.

— Co masz zamiar...?

— Wyprzedzę go, dobra? — I, nie wiedząc, skąd mu się wzięły te słowa, Peter dodał: — W końcu to nie my przybiliśmy tego kota, prawda?

Przycisnął gaz. Niemal natychmiast zrównali się z brudnym radiowozem, jadącym teraz nie więcej niż trzydzieści na godzinę. Mary złapała męża za rękaw niebieskiej flanelowej koszuli wystarczająco mocno, by poczuł przez materiał nacisk jej krótkich paznokci.

— Nie. Nie wyprzedzaj go.

— Mary, a to jakim cudem!

Dalsza rozmowa na temat gliniarza i radiowozu nie miała po prostu sensu. Już go wyprzedzili. Prawie. Acura zrównała się z białym caprice i prawie natychmiast znalazła się przed nim. Przez dwie brudne szyby Peter prawie nic nie widział. Dostrzegł sylwetkę, sylwetkę wielkiego faceta, i tyle. Miał także wrażenie, że policjant patrzył w jego kierunku. Przy okazji odczytał znak na drzwiach: „Komisariat Policji w Desperacji” i herb miasteczka — górnik i jeździec ściskający sobie dłonie.

Desperacja — pomyślał. — To lepsze od Destry. O wiele lepsze.

Gdy tylko acura znalazła się przed nim, radiowóz przyspieszył, zjechał na właściwy pas i uczeplił się jej zderzaka. Jechali tak w tandemie przez pół minuty, może czterdzieści sekund, choć dla Petera trwało to znacznie dłużej. Niebieski kogut na dachu caprice przebudził się wreszcie do życia. Peter poczuł, jak żołądek kurczy mu się, ale nie ze zdziwienia. Niczemu się nie dziwił. Niczemu.

2

Mary nie zdjęła dłoni z rękawa jego koszuli i teraz, gdy Peter zjechał na pobocze, kurczowo ścisnęła go za ramię.

— Peter, co ty wyprawiasz? Co ty wyprawiasz!?

— Muszę się zatrzymać. Włączył koguta, więc muszę się zatrzymać.

— Nie podoba mi się to. — Rozejrzała się nerwowo. Niewiele tu było do oglądania: pustynia, wzgórze i mnóstwo błękitnego nieba. — Przeskrobaliśmy coś.

— Prawdopodobnie przekroczyliśmy dozwoloną prędkość.

Spojrzał w boczne lusterko. Nad napisem UWAGA! MOGĘ BYĆ BLIŻEJ, NIŻ SĄDZISZ! dostrzegł otwierające się, zakurzone białe drzwiczki. A potem wielką nogę w spodniach khaki. W ślad za gigantyczną nogą objawił się powoli cały kierowca, wkładający właśnie na głowę szerokoskrzydły, typowy policyjny kapelusz (zdaniem Petera nie był w stanie prowadzić w kapeluszu, bo i bez niego głową dotykał podsufitki). Mary odwróciła się tymczasem. Obserwowała policjanta z szeroko otwartymi ustami.

— Jezu Chryste, facet jest wielki jak zawodowy futbolista!

— Większy — poprawił ją Peter.

Używając dachu samochodu jako punktu odniesienia (mniej

więcej metr pięćdziesiąt) wyliczył szybko, że idący niespiesznie w stronę acury facet ma co najmniej dwa metry wzrostu. Ważył najmarniej ponad sto dwadzieścia kilogramów, a może nawet ponad sto pięćdziesiąt.

Mary puściła ramię męża i wtuliła się w drzwiczki, by jak najdalej odsunąć się od wielkoluda. Policjant miał na biodrze kaburę z rewolwerem pasującym do niego wymiarami, ale jego ręce były puste. Nie trzymał w nich ani notesu, ani książeczki mandatowej. Peterowi mocno się to nie podobało. Nie wiedział, o co chodzi, ale i tak mocno mu się to nie podobało. W całej swej karierze kierowcy, podczas której otrzymał między innymi cztery mandaty za złe parkowanie i ostrzeżenie za prowadzenie po alkoholu (trzy lata temu, po wydziałowej Wigilii), policjant nigdy nie podszedł do niego z pustymi rękami. Puste ręce tego policjanta strasznie mu się nie podobały. Serce, już pracujące bardzo szybko, przyspieszyło mu jeszcze odrobinę. Nie waliło w piersiach, przynajmniej jeszcze nie, ale próbowało dać do zrozumienia, że może zacząć walić. Że bez problemu może zacząć walić bardzo mocno.

Jesteś durniem i doskonale o tym wiesz — powiedział sobie. — Chodzi o przekroczenie dozwolonej prędkości, o nic więcej tylko o przekroczenie dozwolonej prędkości. Nawet na tej drodze obowiązuje pewnie ograniczenie do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę i chociaż to żart, wszyscy wiedzą, że to żart, ten facet ma przecież normę do wykonania. A jeśli chodzi o przekroczenie prędkości, najlepiej wlepić mandat komuś spoza stanu. Przecież wiesz. Więc... jak brzmiał tytuł tego starego albumu Van Halen? „Żryj i uśmiechaj się”?

Gliniarz zatrzymał się przy oknie od strony kierowcy. Sprzączka pasa à la Sam Browne* znajdowała się mniej więcej na wysokości oczu Petera. Gliniarz nie zadał sobie trudu, by się pochylić; po prostu zwinął dłoń w pięść — wielkości sporego bochna chleba — i zakręcił nią w powietrzu.

Peter zdjął okrągłe okulary bez oprawki, wsadził je do kieszeni i powoli opuścił szybę. Doskonale świadom był dobiegającego go z głębokiego pasażerskiego siedzenia sportowego samochodu ciężkiego oddechu Mary. Oddychała tak, jakby właśnie skakała na skakance albo kochała się.

Gliniarz ugiął kolana, równiutko i gładko. W okienku pojawiła

* Sam Browne (1824 — 1901) — brytyjski generał, wynalazca pasa na broń białą z biegnącą przez pierś szarfą.

się jego wielka, poważna twarz. Czoło przecinała linia cienia rzuconego przez szerokie rondo kapelusza. Skórę miał niezdrowo zaróżowioną. Zapewne — pomyślał Peter — mimo swych imponujących rozmiarów podobnie jak Mary nie najlepiej znosi słońce pustyni. Jasnoszarych oczu nie odwracał wprawdzie, ale nie było też w nich żadnych uczuć, w każdym razie żadnych, które Peter potrafiłby odczytać. Czuł tylko jakiś zapach. Prawdopodobnie old spice.

Gliniarz zaledwie na niego zerknął, po czym powiódł wzrokiem po wnętrzu samochodu. Najpierw z klinicznym zainteresowaniem obejrzał sobie Mary (typ: Amerykańska Żona, ładna buźka, dobra figura, niewielki przebieg, żadnych widocznych blizn), a potem zlustrował leżące na tylnym siedzeniu aparaty fotograficzne, kamerę wideo i torby. Nie zdążyli zaśmiecić wnętrza; z Oregonu wyjechali zaledwie trzy dni temu, a półtora dnia spędzili z Garym i Marielle Soderonami, słuchając starych płyt i rozmawiając o dawnych czasach.

Nieco dłuższej inspekcji poddana została wysunięta popielniczka. Zdaniem Petera policjant szukał w niej niedopałków skrętów, pewnie też próbował wywęszyć zapach haszu lub marihuany. Poczul przejmującą ulgę; nie palił trawki od piętnastu lat, nigdy nawet nie spróbował kokainy, a po ostrzeżeniu za prowadzenie po alkoholu właściwie przestał pić. Zapach marychy czuł ostatnio na jakimś koncercie rockowym — oto zasięg jego współczesnych narkotykowych doświadczeń. Mary w ogóle nie zażywała — czasami mówiła o sobie „narkotykowa dziewica”. Całą zawartość popielniczki stanowiło kilka zgniecionych sreberek po gumie do żucia, na tylnym siedzeniu nie walały się puszki po piwie lub butelki wina.

— Wiem, jechałem trochę za szybko.

— Gaz do dechy, prawda, panie kierowco? — odparł gigant wyjątkowo sympatycznym głosem. — Gaz do dechy! Mogę prosić pana o prawo jazdy i dowód rejestracyjny?

— Oczywiście! — Peter wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni. — Ale to nie mój samochód — uprzedził. — Należy do mojej siostry. Odwozimy go do Nowego Jorku. Z Oregonu. Studiowała w Reed. W Reed College, w Portland.

Zdawał sobie sprawę z tego, że plecie od rzeczy, nie był jednak całkiem pewien, czy potrafi przestać. Dziwne, że przy gliniarzu człowiek zawsze bredzi, jakby w bagażniku wiózł poćwiartowane zwłoki albo porwane dzieci. Pamiętał, iż podobnie bredził, kiedy zatrzymano go na przelotówce Long Island, po tym wigilijnym

spotkaniu. Gadał i gadał, słowa po prostu się z niego wylewały, policjant natomiast milczał jak zakłęty, zajmował się swoimi sprawami, najpierw sprawdzał papiery, a potem wynik testu alkoholomierzem.

— Mare? Mogłabyś wyjąć dowód rejestracyjny? Jest w skrytce. W małej plastikowej kopercie, razem z ubezpieczeniem.

Mary nawet nie drgnęła. Widział ją kątem oka; siedziała nieruchomo, on zaś otworzył portfel i rozpoczął poszukiwanie prawa jazdy. Powinno być tu, za plastikową wkładką, tuż obok przegródki na banknoty, powinno od razu rzucić mu się w oczy, ale jakoś nie chciało.

— Mare? — powtórzył nieco ostrzej, lekko zniecierpliwiony i znów mocno przestraszony.

A co, jeśli to cholerne prawo gdzieś mu się zapodziało? Wypadło na podłogę u Gary’ego, na przykład, podczas gdy przekładał wszystkie te śmieci (w czasie podróży w kieszeniach gromadzi się tyle śmieci) z jednej pary dżinsów do drugiej. Nie wypadło, oczywiście, ale gdyby wypadło, jakie byłoby to typowe...

— Mary, mogłabyś mi pomóc? Wyciągnij ze skrytki ten cholerny dowód rejestracyjny! Proszę.

— Och, dowód! Tak, już.

Pochyliła się; przypominała przy tym jakąś starą, zardzewiałą maszynę, pobudzoną do życia przez prąd pod sporym napięciem. Otworzyła skrytkę. Zaczęła się przekopywać przez jej zawartość, której część musiała wyjąć — na pół pełną torebkę prażynek, taśmę Bonnie Raitt, która zniknęła w radiomagnetofonie acury, mapę drogową Kalifornii — żeby dogrzebać się do dalszych skarbów. Na jej lewej skroni Peter dostrzegł krople potu. Pasma krótkich, ciemnych włosów były wręcz mokre od potu, choć klimatyzacja dmuchała jej wprost w twarz.

— Nie wiem... — I nagle z wielką ulgą w głosie: — ...o, jest!

W tym samym momencie Peter znalazł wreszcie prawo jazdy, ukryte wśród wizytówek. Nie pamiętał, by je tam chował — po co, na litość boską, miałby to robić? — ale przynajmniej wreszcie się znalazło. Na zdjęciu nie wyglądał wcale na adiunkta na wydziale anglistyki Nowojorskiego Uniwersytetu Miejskiego, lecz raczej na bezrobotnego robotnika rolnego (a także, być może, seryjnego mordercę). Przypominał jednak na nim siebie samego, to był on, niewątpliwie on i na duszy zrobiło mu się wyraźnie lżej. Mieli konieczne papiery, istniał Bóg na niebie, a świat nadal był w porządku.

Poza tym — pomyślał, wręczając gliniarzowi prawo jazdy — przecież to nie Albania, prawda? Być może Nevada nie mieści się w sferze pojmowania normalnego człowieka, ale bez najmniejszych wątpliwości nie jest Albanią.

— Peter?

Odwrócił się, wziął plastikową kopertę i przy okazji puścił oczko do Mary. Próbowwała docenić ten żart uśmiechem, ale nie wyszło to najlepiej. Powiał wiatr, niesione nim drobinki piasku użądliły Petera w policzek. Zmrużył oczy. Nagle zapragnął znaleźć się trzy tysiące kilometrów od Nevady. Obojętne w jakim kierunku.

Wziął dowód rejestracyjny i próbował oddać go gliniarzowi. Gliniarz nadal jednak wpatrywał się w prawo jazdy.

— Widzę, że zarejestrował się pan jako dawca — zauważył, nie podnosząc wzroku. — To mądre posunięcie, tak pan uważa?

Petera to pytanie straszliwie zaskoczyło.

— No cóż, przecież...

— Czy to dowód rejestracyjny? — przerwał mu różnym głosem wielki glina.

Patrzył na świstek kanarkowożółtego papieru.

— Tak.

— Poproszę.

Peter podał mu dowód przez okno. Gliniarz, kucając w słońcu niczym Indianin, miał teraz zajęte obie dłonie. Przyglądał się to jednej, to drugiej; trwało to, przynajmniej pozornie, bardzo długo, za długo. Peter poczuł delikatny nacisk na udzie; aż podskoczył, lecz zaraz zorientował się, że to ręka Mary. Ujął ją i poczuł, jak jej palce zaciskają się kurczowo.

— Pańska siostra? — spytał w końcu policjant, podnosząc głowę i przesywając ich spojrzeniem szarych oczu.

— Tak, bo...

— Jej nazwisko brzmi Finney. Pańskie, Jackson.

— Deirdre przez rok była mężatką, przez rok między szkołą średnią a studiami — wtrąciła Mary pewnym, spokojnym, lecz miłym głosem, w którym nie było ani śladu strachu. Wyłącznie po głosie Peter bez zastrzeżeń uwierzyłby, że się nie boi... gdyby nie te wbijające mu się w ciało palce. — Pozostała przy nazwisku męża. To wszystko.

— Rok, co? Między szkołą średnią a studiami? Mężatka. *Tak!*

Pochylił się nad dokumentami. Peter widział, jak kiwa się rondo jego szerokoskrzydłego kapelusza.

Nie czuł już ulgi.

— Między szkołą średnią a studiami — powtórzył gliniarz.

Głowę trzymał pochyloną, nie widzieli jego twarzy. Peter usłyszał w głowie inne jego słowa. „Jest pan dawcą? To mądre posunięcie, tak pan uważa? *Tak!*”.

Gliniarz podniósł głowę.

— Czy byłby pan uprzejmy wysiąść z samochodu, panie Jackson?

Mary ścisnęła go jeszcze mocniej, wbiła paznokcie w jego ciało, ale spowodowany jej uściskiem ból prawie do Petera nie docierał. Nagle skurczyły mu się jądra i znów poczuł się jak dziecko, dziecko, które niczego nie jest pewne, wie tylko, że coś przeskrobało... ale co?

— Co...

Gliniarz z miasteczka Desperacja powoli wstał. Oboje mieli wrażenie, że patrzą na wznoszącą się windę. Najpierw zniknęła głowa, potem kołnierzyk rozpiętej pod szyją koszuli i lśniący znaczek, potem skośna linia paska. I znów Peter patrzył na klamrę, na kaburę tudzież wszywkę spodni khaki, w której mieścił się rozporek.

Tym razem znad dachu acury doleciał go głos, w którym nie było ani śladu prośby.

— Proszę wysiąść z samochodu, panie Jackson.

3

Peter ujął klamkę. Gliniarz cofnął się o krok, by umożliwić mu otwarcie drzwiczek. Nie widzieli jego twarzy ukrytej za samochodowym dachem. Mary ścisnęła dłoń męża tak mocno jak nigdy przedtem, więc Peter odwrócił się do niej. Czerwone plamy na policzkach i czole odznaczały się wyraźniej niż przed chwilą. Zbladła. Aż tak.

— Nie wysiadaj — zasygnalizowała poruszeniem warg.

— Muszę — odparł w ten sam sposób i postawił nogę na asfalcie szosy numer pięćdziesiąt.

Przez moment Mary czepiała się go jeszcze, jeszcze zaciskała dłoń, ale wyrwał się i do jednej nogi dostawił drugą. Kiedy się wyprostował, zdał sobie sprawę, że czuje je tak, jakby były bardzo daleko.

Gliniarz patrzył na niego z góry. Przynajmniej dwa pięć — pomyślał sobie. — Przynajmniej. I nagle oczami wyobraźni dostrzegł niczym na przyspieszonym filmie: policjant wyciąga broń, naciska spust, uczony mózg Petera Jacksona rozpryskuje się cienką warstwą

na dachu acury, facet wyciąga Mary z samochodu, rzuca ją twarzą na bagażnik, przechyla i gwałci tu, na drodze, w palących promieniach słońca, nie zdejmując nawet szerokoskrzydłego kapelusza, kiwa się przy tym i wrzeszczy: „Chcesz dawcy? Masz dawcę! Masz dawcę!”.

— O co chodzi, panie władzo? — spytał. Wargi i gardło zrobiły mu się nagle bardzo, bardzo suche. — Sądzę, że mam prawo wiedzieć...

— Proszę podejść do samochodu od strony bagażnika, panie Jackson.

Gliniarz odwrócił się i ruszył wokół samochodu, nie sprawdzając nawet, czy Peter usłuchał jego polecenia. Peter go oczywiście usłuchał. Szedł sztywno, pewny, że nogi przyjmują polecenia mózgu wyłącznie dzięki jakiejś formie telekomunikacji.

Policjant już czekał. Kiedy Peter do niego dołączył, wskazał mu coś wielgachnym, grubym paluchem. Z tyłu samochodu Deirdre nie było tabliczki z numerem rejestracyjnym — pozostał po nim wyłącznie nieco mniej zakurzony prostokątny ślad.

— A, cholera! — zaklął Peter.

Zdenerwował się naprawdę i naprawdę wkurzył, ale też naprawdę poczuł wielką ulgę. A więc tylko o to chodziło? Dzięki Bogu! Spojrzał wzdłuż boku samochodu. Nie zaskoczyło go, że drzwi, przez które wysiadł, są zamknięte. Mary je zamknęła. Tak głęboko przejął się tym... zdarzeniem... łańcuchem zdarzeń... obojętne... że nie usłyszał nawet, jak się zamykają.

— Mare! Hej, Mare!

Wychyliła się przez okno, zwracając ku niemu czerwoną od słońca, napiętą twarz.

— Odpadł nam ten cholerny numer rejestracyjny!

— Co?

— Nie, nie odpadł — powiedział spokojnie gliniarz z miasteczka Desperacja.

Przysiadł jak przed oknem acury — miękki, swobodnym, lekkim ruchem i sięgnął pod zderzak. Przez kilka krótkich chwil gmerał za nie istniejącą już tablicą, szarymi oczami wpatrując się w linię horyzontu. W tym spojrzeniu było coś, co Pete'owi wydało się przeraźliwie znajome — oto zatrzymał ich na drodze facet z reklamy Marlboro.

— Ach! — westchnął gliniarz, podnosząc się.

Dłoń, przedtem gmerającą pod zderzakiem, zwiniętą miał w pięść. Wyciągnął ją ku Peterowi i wyprostował palec. Na wielkiej łapie leżał, sprawiając wrażenie maleńkiego, kawałek ubłoconej, zakurzonej śruby. Czysty był tylko jej zerwany koniec.

Peter spojrzął mu w twarz.

— Nie rozumiem — powiedział.

— Zatrzymywał się pan w Fallon?

— Nie...

Drzwi od strony pasażera otworzyły się ze skrzypnięciem. Mary wysiadła, zatrzasnęła je za sobą; słyszał szuranie butów po zasypianym piaskiem poboczu. Szła w ich kierunku.

— Przecież się zatrzymywaliśmy — sprostowała, patrząc na leżący na wielkim łapsku kawałek śruby (dowód rejestracyjny i prawo jazdy zajmowały drugą rękę gliniarza). Podniosła wzrok na jego twarz. Nie sprawiała wrażenia przerażonej — w każdym razie nie aż tak przerażonej — co Petera ucieszyło. On sam już wymyślał sobie od paranoicznych idiotów i nie tylko, musiał jednak przyznać, że bliskie spotkanie trzeciego stopnia z tym facetem miało swoje *(sądzi pan, że to mądre posunięcie)* szczególne aspekty.

— Stacja benzynowa, Peter. Nie pamiętasz? „Nie potrzebujemy benzyny”, powiedziałeś, „ale sporo wypiliśmy, więc weźmiemy benzynę, bo to głupio tylko skorzystać z toalety”.

Spojrzała na gliniarza, usiłując się uśmiechnąć. Musiała mocno zadzierać głowę. Na Peterze sprawiała wrażenie małej dziewczynki próbującej skłonić do uśmiechu tatę, który właśnie wrócił do domu po parszywym dniu w pracy.

— Łazienka była bardzo czysta — pochwaliła.

Glina skinał głową.

— Zatrzymali się państwo w „Fill More Fast” czy w „Berk’s Conoco”, u Alfiego? — spytał.

Niepewnie spojrziała na Petera. Peter szeroko rozłożył ręce.

— Nie pamiętam. Chryste, przecież zapomniałem, żeśmy się tam w ogóle zatrzymali!

Policjant niedbałym gestem wyrzucił resztkę śruby przez ramię, w pustynię. Miała tam leżeć przez kolejny milion lat — chyba że zainteresowałby się nią jakiś bystry ptak.

— Założę się, że pamiętają państwo kręcące się tam dzieciaki. Przeważnie starsze dzieciaki. Kilka z nich może za starych, by w ogóle nazywać je dzieciakami. Młodsze miały rolki i deskorolki.

Peter skinał głową. Przypomniawszy sobie, że Mary pytała go, co tu robią ludzie, skąd się wzięli, po co zostają?

— „Fill More Fast” — stwierdził gliniarz. Peter zerknął, by sprawdzić, czy wielkolud nie ma czasem blachy z imieniem i nazwiskiem na kieszonce koszuli. Nie miał. Na jakiś czas będzie więc musiał pozostać po prostu gliniarzem. Gliniarzem wyglądają-

cym jak facet z reklamy Marlboro. — Alfie Berk postanowił się ich pozbyć. Nakopał im po tyłkach. Skubane szczeniaki.

Mary przechyliła głowę. Przez chwilę na jej ustach gościł leciuteńki uśmiech.

— To jakiś gang? — Peter nadal nie wiedział, do czego to wszystko zmierza.

— Prawie. Taki gang, na jaki może sobie pozwolić miejscina wielkości Fallon. — Gliniarz podniósł do twarzy prawo jazdy Petera, przyjrzał się mu, przyjrzał się samemu Peterowi i opuścił rękę. Nie oddał mu jednak dokumentu. — Przeważnie wywalono ich ze szkoły. Jedną z ich rozrywek jest zrywanie tablic rejestracyjnych z samochodów spoza stanu. W ten sposób udowadniają sobie, jacy to są odważni. Rozumiem, że pańską zerwali, kiedy kupowaliście napoje albo korzystaliście z łazienki.

— Pan o tym wie, a oni nadal to robią? — zdziwiła się Mary.

— Fallon to nie moje miasto. Nigdy tam nie jeżdżę. Ich drogi nie są moimi drogami.

— To co mamy teraz zrobić? — spytał Peter. — Boże, co za cholerny bałagan! Samochód zarejestrowany jest w Oregonie, ale moja siostra przeniosła się do Nowego Jorku. Nienawidziła Reed...

— Doprawdy? — spytał gliniarz. — Jejku jej!

Peter dostrzegł, jak Mary patrzy na niego, prawdopodobnie spodziewając się, że będzie rozbawiony do łez. Jemu jednak uśmiech nie wydał się najlepszym pomysłem. W rzeczywistości wydał mu się bardzo złym pomysłem.

— Twierdziła, że uczyć tam to jak uczyć w środku koncertu Grateful Dead — wyjaśnił. — W każdym razie postanowiła wrócić do Nowego Jorku. Samolotem. Pomyśleliśmy z żoną, że przyjemnie byłoby przywieźć jej samochód. Deirdre zapakowała bagażnik swoimi rzeczami, przede wszystkim ciuchami...

Czuł, że znów zaczyna gędzieć. Sporo wysiłku musiał włożyć w to, żeby przestać.

— Więc co mamy teraz zrobić? Nie bardzo możemy jechać przez cały kraj bez tablicy rejestracyjnej, prawda?

Gliniarz okrążył samochód powolnym krokiem. Stał przed jego maską. W dłoni nadal trzymał prawo jazdy i kanarkowożółty dowód rejestracyjny. Pas przecinający jego pierś zaskrzypiał. Policjant założył ręce na plecy, pochylił się i długo badał coś w skupieniu. Przypominał Peterowi wielbiciela sztuki studiującego w galerii interesujące dzieło i zastanawiającego się, czy go przypadkiem nie kupić. Skubane — pomyślał. — Skubane dzieciaki. Miał wrażenie, że nie słyszał tego określenia od wieków.

Gigant wracał. Mary przysunęła się do męża, lecz nie ze strachu — jej strach zniknął gdzieś, jakby go nigdy nie było. Przyglądała się wielkoludowi z zainteresowaniem.

— Przednia tablica jest w porządku — oznajmił wielkolud. — Trzeba ją przenieść na tył. W ten sposób nie powinni mieć państwo kłopotów z dostaniem się do Nowego Jorku.

— Ach! Jakie to proste! Świetny pomysł — ucieszył się Peter.

— Ma pan klucz i śrubokręt? Moje narzędzia leżą, zdaje się, na półce w miejskim garażu.

Policjant uśmiechnął się. Uśmiech rozjaśnił jego twarz, wypełnił humorem szare oczy, zmienił go w innego człowieka.

— Ach, przecież to należy do państwa — powiedział, oddając im prawo jazdy i dowód.

— Narzędzia powinny być w bagażniku. — Głos Mary drżał. Brzmiał słabo, Peter zaś czuł się słabo. Ulga potrafi wstrząsnąć człowiekiem. — Widziałam je tam, kiedy wkładałam kosmetyczkę na miejsce. Między kołem zapasowym a ścianką wnęki.

— Pragnę bardzo panu podziękować — stwierdził Peter.

Gliniarz grzecznie skinął głową, nie patrząc jednak na niego, lecz nieco w bok, na góry.

— Taką mam pracę — odparł.

Peter podszedł tymczasem do drzwi od strony kierowcy, dziwiąc się, czego właściwie tak strasznie się bali.

Co za nonsens — ofuknął się w duchu, wyjmując kluczyki ze stacyjki. Kluczyki wisiały na breloczku ukazującym uśmiechniętą twarz, która całkowicie zaspokajała zainteresowania Deirdre. Pan Uśmiechnięta-Bużka (siostra tak go nazywała) w formie Pani Uśmiechnięta-Bużka znacznie lepiej by do niej pasował. Żółte nalepki z uśmiechniętą bużką nalepiała nawet na listy, a kiedy miała akurat zły dzień, nalepiała na list naklejkę zieloną, smutną bużkę z wysuniętym językiem. Tak naprawdę wcale się nie bałem. I Mary też się nie bała.

Biiip — cholerne kłamstwo. Bał się. Mary zaś... Mary była wręcz przerażona!

Dobra, dobra, trochę się baliśmy. I co z tego? Jak chcecie, możecie nas zaskarżyć! — myślał, wracając do Mary i gliniarza z kluczykiem do bagażnika. Kiedy na nich patrzył, miał wrażenie, że doświadcza złudzenia optycznego — czubek jej głowy zaledwie sięgał początku mostka faceta.

Otworzył bagażnik. Po lewej, porządnie spakowane i przykryte plastikowymi torbami, by nie zakurzyły się po drodze, leżały ubrania Deirdre. Pośrodku kosmetyczka Mary i dwie walizki — jego

i jej — opierające się o zapasowe koło. Słowo „koło” nie pasowało zresztą do rzeczywistości. Zamiast koła acura miała kawał nadmuchianej cienkiej gumy, w sam raz, by w przypadku złapania kaptcia dojechać do najbliższej stacji benzynowej. Jeśli szczęście dopisze.

Zerknął między owo koło a ściankę wnęki.

— Mare, nie widzę...

— O tam. — Pokazała palcem. — To szare pudełko. To narzędzia. Wsunęły się za koło.

Mógłby je wygrzebać, mógłby, ale miejsca nie było za wiele, łatwiej już wyjąć nie napompowane „koło”. Opierał je o tylny zderzak, kiedy usłyszał sapanie Mary. Brzmiało tak, jakby ktoś ją szturchnął. Albo uszczypnął.

— Oho? — powiedział spokojnie gliniarz. — A co my tu mamy?

Oboje patrzyli w głąb bagażnika. Gliniarz sprawiał wrażenie niezbyt zaciekawionego i może z lekka zmieszanego, Mary wytrzeszczała oczy ze strachu. Usta jej drżały. Peter podążył wzrokiem za ich spojrzeniem. We wgłębieniu, ukryte pod kołem zapasowym, coś leżało. Przez moment nie uświadamiał sobie — a może nie chciał sobie uświadomić — co to takiego, a potem poczuł, jak ściska mu się żołądek. Jednocześnie mięśnie odbytu nie tyle się rozluźniły, co przestały istnieć, jakby postanowiły właśnie teraz uciąć sobie drzemkę. Świadom był, że rozpaczliwie zaciska pośladki, ale i to wrażenie dobiegało z daleka, jakby z innej strefy czasowej. Przez chwilę, bardzo krótką chwilę, był całkowicie pewien, że to sen, to musi być sen...

Wielkolud spojrział na niego; szare oczy znów miał tak dziwnie puste, po czym wyciągnął rękę i z wgłębienia wyjął plastikową torbę, dużą, trzylitrową, wypchaną jakimiś zielonobrazowymi ziołami. Zaklejono ją taśmą, a z przodu przyklejono żółty okrągły znaczek — uśmiechniętą buźkę. Doskonały symbol takich głupków jak jego siostra, której życiowe przygody dałoby się opublikować w książce pod tytułem: „Przez najciemniejszą Amerykę ze skretem i zapasem marychy”. Deirdre zaszła w ciążę naćpana, z całą pewnością naćpana zdecydowała się poślubić Rogera Finneya, Peter wiedział też, że rzuciła Reed (z oceną o nędzny punkt większą od minimalnej), ponieważ za dużo było tam zielska, a ona po prostu nie umiała odmawiać. Sama mu to powiedziała, pod tym względem przynajmniej była szczerą, a on przed wyjazdem z Portland przetrząsnął acurę — spodziewając się raczej, że o czymś zapomniała, nie, że coś próbowała rzeczywiście przemy-

cić. Zajrzał pod torby, w które spakowała ubrania, a Mary obmacała ciuchy. (Nie przyznawali się przed sobą do tego, co robią, nie zamienili ani słowa, ale przecież wiedzieli bez słów.) Nie przyszło im jednak do głowy zaglądać pod koło.

Cholerna guma!

Gliniarz nacisnął torbę wielkim kciukiem, jakby sprawdzał świeżość pomidora. Z kieszeni wyjął scyzoryk. Otworzył najmniejsze ostrze.

— Panie władzo — powiedział Peter słabym głosem. — Panie władzo, nie wiem jak...

— Ciii... — I pan policjant zrobił na torbie maleńkie nacięcie.

Peter poczuł, że Mary ciągnie go za rękaw. Tym razem to on ścisnął jej dłoń. Oczami wyobraźni dostrzegł bladą, ładną twarz Deirdre, dostrzegł jej jasne włosy, opadające na ramiona w naturalnych lokach upodabniających ją do Stevie Nicks, dostrzegł jej zawsze lekko nieprzytomne oczy.

Ty durna mała suko — pomyślał. — Bądź szczęśliwa, że nie jestem w stanie dostać cię w swoje łapy.

— Panie władzo... — spróbowała Mary.

Pan władza uniósł dłoń, by ją uciszyć. Podniósł torbę do nosa i powąchał zawartość przez rozcięcie. Zamknął oczy. Po chwili otworzył je powoli i wyciągnął ku Peterowi wielkie łapsko.

— Będzie pan uprzejmy oddać mi kluczyki — powiedział.

— Panie oficerze, mogę to wszystko wytłumaczyć...

— Poproszę kluczyki.

— Jeśli tylko...

— Głuchyś pan! Kluczyki!

Gliniarz właściwie nawet nie podniósł głosu, ale Mary i tak zaczęła płakać. Czując się jak ktoś, kogo dusza przemocą wyrwała się z ciała, Peter wrzucił kluczyki w ręce giganta. Objął drżące plecy żony.

— Obawiam się, że muszą państwo pojechać ze mną — oznajmił gliniarz.

Spojrzał na Petera, potem na Mary, a potem znowu na Petera; Peter nagle zdał sobie sprawę, co go niepokoiło w oczach tego człowieka. Błyszczały wprawdzie jak krople wody przed wschodem słońca w mglisty ranek, były jednak w jakiś sposób martwe.

— Proszę, błagam... — wybąkała Mary przez łyż. — Przecież to pomyłka. Jego siostra...

— Proszę do środka — gliniarz skinieniem głowy wskazał im radiowóz. Kogut błyskał niezmordowanie, jasny nawet w jaskrawych promieniach słońca. — W tej chwili, państwo Jackson.